

czach. Zostawiam to ojcu, wreszcie ciotce, niech oni myślą o tem.

— Ja cię rozumiem i cenię to w tobie, — ścisnął ją, — ty jesteś piękna, za idealna, ażeby dotykać się tak poziomych spraw. Sądę, że najlepiej zrobię, gdy pomówię z ciocią, ażeby ona wyrozumiała, czego właściwie chce ojciec twój odemnie. Gotów jestem do wszelkich ustępstw, zgodzę się na wszystkie warunki.

— Tak mnie kochasz? — przytuliła się do niego i miłośnie patrzyła mu w oczy.

Przez jakiś czas milczeli. Wtem posłyszeli krzątającą się w drugim pokoju służącą, szybko odsunęli się od siebie i Roman powtórnie spytał:

— Czy był wczoraj Butrinek u was?

— Co ci na tem zależy? wiesz przecież, że cię kocham, a on mi jest tak obojętny, tak daleki mej duszy...

— Ja to wiem i tembardziej oburza mnie jego beczelność w stosunku do ciebie.

— Co ty mówisz? jaka beczelność? — zawołała zdziwiona.

— Ten pan, w knajpie, w licznej towarzystwie powiedział, że tylko od jego kilku słów zależy, ażebyś została jego żoną w ciągu trzech tygodni, czyli po wyjściu zapowiedzi.

— Głupiec! — zawołała pogardliwie.

— To mało! pociągnę go do odpowiedzialności. Nie mogę pozwolić, aby o mojej przyszłej żonie jakiś pan Butrinek rozmawiał w knajpie w sposób jej ubliżający.

— Romciu, nie rób tego! — prosiła, — ja nie chcę pojedynku, możesz zginąć, może cię zranić, nie, nie, nie chcę tego! — zarzuciła mu ręce na szyję i przytuliła się do niego.

— Uspokój się Maniu, ten pan nie przyjmie pojedynku. Ileż razy dokuczałem mu do żywego, a on wszystko znosi spokojnie.

— Ależ Romciu, — prosiła go, — to zaszkodziłoby mojej opinii, on mnie obniesie po całym mieście, zaczną się plotki, podejrzenia... Jeśli mnie kochasz, nie będziesz rozmawiał z Butrinkiem, chyba w mej obecności. Powiedz, że dobrze, — całowała go, — ja się tak boję o ciebie.

— Posłucham cię, ale ty nawzajem rozmów się z ojcem, i jestem pewny, że gdy mu powiesz otwarcie o swych uczuciach dla mnie, on na pewno się zgodzi, i będziemy tacy szczęśliwi! Ja nie chcę żadnego posagu, będę dumny, gdy ciebie wystroję jak królową, gdy obsypię cię kwiatami, zadowolę każdy twój kaprys.

— Dobrze, już dobrze, — odsuwała go zaniepokojona, — ale już idź.

— Kiedy się zobaczymy? — wstał niechętnie z kozetki, na której oboje dotychczas siedzieli.

— Przyjdź w niedzielę, ale o czwartej, bo wieczorem wychodzim.

— Tak długo mam czekać, — nachmurzył się, — całe trzy dni.

— Nie można wcześniej... muszę pogadać z ojcem... no, idź!

XXI.

Zarząd szpitala pozwalał na odwiedzanie chorych pomiędzy godziną trzecią a czwartą, co Romanowi, zajętemu w fabryce, uniemożliwiało dowiadywanie się o chorego Tomasza.

Irena ofiarowała się sama pójść do szpitala odwiedzić chorego. W pierwszym dniu oświadczył jej dyżurujący doktor, że Tomasz Ryś leży w silnej gorączce, majaczy i nie pozna jej wcale. Dopiero czwartego dnia wpuszczono Irenę na salę ogólną.

Zaraz u wstępu owionął ją zaduch gorączki, lekarstw, potu ludzkiego i ujrzała cały szereg łóżek, stojących niemal tuż przy sobie, a prócz tego, na jedynym wolnym miejscu środkowym ułożone były na podłodze sienniki i na jednym z nich leżał Tomasz.

Poznał ją, jak widziała ze spojrzenia i poruszył ustami, z których nie wydobył się żaden dźwięk wyraźny.

Zbliżyła się do niego, stając na wążutkiem prze-

ściu pomiędzy dwoma siennikami, nachyliła się i posłyszała szept jego:

— Paniąka dobra.

— Jak się czujecie? Lżej wam?

— Co ma być lżej, — odezwał się jego chory sąsiad, — nie miałem spokoju przez dwa dni, charczy i pluje.

W słowach tych słyszała Irena nie tylko skargę, ale i rozdrażnienie chorego, który był zmuszony niemal ocierać się o Tomasza i odczuwał każde jego poruszenie i gorący oddech.

— Tomasz, — spytała współczującym, cichym głosem, — może czego wam potrzeba?

— Pić!

Obejrzała się wokoło i na razie nie dostrzegła ani dzbanka, ani szklanki i dopiero na jej prośby posługacz szpitalny, a zarazem dozorca sali, człowiek starszy, z twarzą wygoloną, lisią, z przymuszonym uśmiechem dobroci przyniósł w blaszanym kubku wodę i podał choremu.

Tomasz orzeźwił po wypiciu i rzekł do nachylonej nad nim Ireny:



Na bladych, niemal przezroczystych twarzach odbiło się zaniepokojenie i pilnie przypatrywali się nowemu choremu

— Złe mi tu.

— Nie obrażałbyś Pana Boga, — zgromił go dozorca i na jego twarzy wychudzonej, pomarszczonej, widać było gniewną surowość.

Dostrzegł to Tomasz i powiedział szybko z wysiłkiem do dozorczy:

— Darujcie ojcze, ja mówiłem tylko o chorobie.

— Z ręki boskiej wszystko należy pokornie i cierpliwie przyjąć, — nauczał go tonem księdza, — Pan Bóg zsyła chorobę, ażeby duszę zbawić.

— Ja to wiem, — westchnął, a gdy dozorca oddalił się, Tomasz prosił Irenę:

— Zostań pani chwilę, to tak miło widzieć kogoś ze świata.

Nie podobała się ta poufna rozmowa dozorczy i zawołał rozkazująco:

— Nie gadaj! nie wolno! — i pod adresem Ireny: — I czego tu przychodzisz dla ciekawości?

Zrozumiała Irena aluzję i wsunęła w brudną, pomarszczoną rękę dozorczy kilka drobnych monet, co podziałało tak skutecznie, że wskazał jej niezajęte krzesło przy stoliku doktorskim i mówił z udanym współczuciem o Tomaszu:

— Taki to biedak, mieliśmy z nim dużo kło-

potu... ledwo odratowaliśmy. A pani krewna jego, czy znajoma?

— Znajoma.

— Widać, że on z lepszej rodziny, gdy go taka godna osoba odwiedza, — a widząc przychodzących w odwiedzinę, pospieszył do nich.

Panujący tu zaduch przyprowadził Irenę o młot. Rzeźrzała się po sali dość wysokiej, widnej, ale nadmiernie przepełnionej chorymi. Nad każdym łóżkiem wisiała tabliczka drewniana, gruba, poczer-niona, na której białymi literami było wypisane nazwisko chorego i rodzaj choroby.

Z każdego łóżka, z każdego kąta wyzierała tu niemoc i nędza ludzka. Na twardych siennikach pod lichem przykryciem, na marnych poduszkach, rysowały się żółtawe, blade, wymizerowane twarze chorych. Od czasu do czasu odzywały się stękania, jęki, rzadziej urwany płacz młodych chłopców. Po dłoga z miękkiego drzewa, brudna, zaplwna, zabłocona, urągała wszelkim pojęciom czystości i higieny, i zdziwiło to Irenę, że nie dostrzegła żadnych wentylatorów ani lamp.

W tej chwili do sali weszła w habitie siostra miłosierdzia. Posługacz, wyglądający na emerytowanego księdza, z pokorą i miną słodkiej pobożności na lisiej twarzy, podreptał szybko ku zakonnicy i całując jej rękę i rękaw, mówił:

— Dobrodziejko nasza najlaskawsza, wszystko w porządku, tylko ten chory, — wskazał na łóżko w rogu, — grymasi, jeść nie chce i klnie, że aż grzech słuchać.

Zakonnica zdawała się nie słyszeć tych słów i badawczo spojrzała po sali, gdzie było około dziesięciu obcych osób przybyłych w odwiedzinę, a wśród nich wyróżniała się ubraniem i postawą Irena, do której z wolna się zbliżyła.

Z chwilą wejścia zakonnicy, chorzy natychmiast się uciszyli, starali się ułożyć w łóżku jaknajprzypadniej i patrzali ku niej z szacunkiem, pomieszanym z obawą. Również i osoby odwiedzające, należące do klas uboższych, przybrały postawę układową, gotową do ukłonu i ucałowania ręki. Czuć było w całej sali, że weszła tu osoba, mająca wielki wpływ i znaczenie.

Irena uległa również temu nastrojowi i przy zbliżeniu się zakonnicy wstała z krzesła.

— Niech będzie pochwalony! — powiedziała głośno zakonnica.

— Na wieki, — odszepnęła Irena.

— Pani tu do kogo?

Zanim Irena zdążyła odpowiedzieć, pospieszył posługacz, trzymający się w pobliżu:

— Dobrodziejko najlepsza, a to do tego, — wskazał ręką na siennik, — on Królewski, nie ma ani krzyżyka, ani szkaplerza, jak żyd albo poganin.

Zakonnica sięgnęła ręką do kieszeni habitu wyjęła medalik i wręczając posługaczowi, rozkazała:

— Zawieś mu na szyi... Czy pani krewna jego?

— Nie.

— Więc znajoma?

— Tak jest.

— Przyjeśliśmy go na salę, chociaż, jak pani widzi, jest przepełnione. Mamy za dużo chorych. Mnożą się choroby i nieszczęścia, — westchnęła, — Pan Bóg karze nas za grzechy nasze.

Wzięła ze stołu arkusz papieru, na którym zanotowane były rozporządzenia lekarskie co do chorych i przeglądając je, spytała posługacza obojętnym głosem:

— Czy dano lekarstwa... — wymieniła trzech chorych.

— Tak jest, dobrodziejko, sam byłem przy tem i pomagałem.

— Pani tutejsza? — zwróciła się do Ireny.

— Nie, z Królestwa.

— To tak jak on, — spojrzała w stronę leżącego Tomasza. — Jakże się pani podobał nasz szpital? — spytała w oczekiwaniu przyjemnej odpowiedzi.

— Zbyt wielki zaduch.

— Jak zwykle, przy chorych. Nie otwieramy okien dzisiaj, bo dzień wietrzny i zimny.

(Ciąg dalszy nastąpi).